

Choć to dramatyczne i często bolesne zdarzenia, to jest u i szczypta humoru, i okazja do poszerzenia wiedzy, przemycenia ciekawostek różnych dziedzin dotyczących (sportu, techniki).

Kobietnik – inna bajka

Odzyskana niepodległość – 10 opowiadań z XX wieku to piąta książka z serii „Zdarzyło się w Polsce”. Ostatni tom z tego cyklu ukazuje się w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości i poświęcony jest niezwykle burzliwemu okresowi w historii naszej ojczyzny.

Współcześni autorzy książek dla dzieci i młodzieży, pasjonaci historii, przedstawili w nim II Rzeczpospolitą, okupację hitlerowską i PRL widziane oczami naszych przodków: powstańców śląskich, uczestników bitwy warszawskiej, żołnierzy Armii Krajowej, cywilów deportowanych na nieludzką ziemię i repatriantów zza Bugu. Za ich sprawą czytelnik stanie się świadkiem zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza i przewrotu majowego, przeniesie się do bombardowanego przez Niemców Wielunia i płonącego warszawskiego getta. Będzie towarzyszyć tym, którzy do wolnej Polski szli u boku generała Andersa, i tym, którzy podążali do niej razem z generałem Berlingiem, a także tym, którzy walczyli o nią podczas strajków robotniczych w Poznaniu, Radomiu i Gdańsku.

W zbiorze znajdują się opowiadania historyczne Grażyny Bąkiewicz, Pawła Wakuły i Kazimierza Szymeczki.

PAWEŁ WAKUŁA

Długa droga do Polski

OPOWIEŚĆ O WOJENNYCH
LOSACH POLAKÓW



Wniedzielę, od samego rana, dziadek Antoni szykował się jak na imieniny: włożył odświętny garnitur, zaczął włożyć włosy na łysinę i wylał na siebie pół flakonu wody toaletowej Wars. Potem zawiązał krawat i przypiął do garnituru barwne odznaczenia.

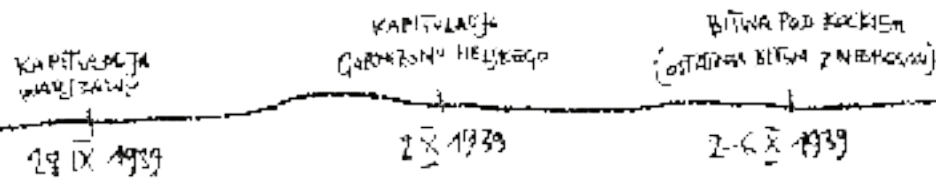
– Do kościoła się ojciec tak stroi? – zdziwił się tata Maćka, który leżał na tapczanie przed telewizorem i po raz nie wiadomo który oglądał film o przygodach dzielnej załogi czołgu Rudy i psa Szarika.

– Ej, chyba nie! – roześmiała się mama. – Raczej na randkę! Można wiedzieć, kim jest szczęśliwa wybranka?

– Ani do kościoła, ani na randkę... – odburknął dziadek. – Do parku idę. Mam tam umówione spotkanie... od czterdziestu sześciu lat.

Tata zerwał się z tapczanu na równe nogi.

– A niech to! Dziś ósmy maja! Zupełnie zapomniałem! – wyłączył telewizor i zaczął pomagać dziadkowi zawiązywać krawat, mama strzepywała z garnituru jakieś niewidoczne pyłki, a Maciek patrzył na całe to zamieszanie zdziwionym wzrokiem.



– Z kim dziadek ma to spotkanie? – spytał.

– Z historią! – odpowiedział niecierpliwie tata. – Synu, nie płacz się pod nogami, nie masz nic do roboty?

Maciek tylko wzruszył ramionami.

– Przecież jest niedziela, a ja nie mam pracy domowej. Zresztą jutro prawie nie ma lekcji, na pierwszej godzinie lekcyjnej ma być apel z okazji Dnia Zwycięstwa, będą kwiatki, wierszyki i patriotyczne pieśni... Nudy na pudy.

– Teraz też chyba się nudzisz, co? – dziadek łypnął na niego znad okularów, jakby dobrze chciał się przyjrzeć wnukowi. – Może przejdiesz się ze mną na spacer?

– Czy ja wiem... – skrzywił się Maciek. – Wolę pooglądać telewizję. Dzisiaj rusza Wyścig Pokoju, może będzie wywiad z Joachimem Halupczokiem?

– Bez gadania! – mama popchnęła go w stronę drzwi. – Pójdiesz z dziadkiem, przynajmniej się czegoś nauczysz!

Gdy mama mówiła takim tonem, to lepiej było jej się nie sprzeciwiać. Maciek wciąż zaskoczony obrotem spraw, zdążył tylko złapać książkę, żeby nie nudzić się w parku, i już byli za drzwiami.

Przez chwilę szli w milczeniu, rozkoszując się wspaniałą pogodą. Dziadek Antoni zmrużył oczy i wystawił twarz do słońca.

– Maciek, ile ty właściwie masz lat? – spytał nieoczekiwanie.

– Dwanaście, chodzę do szóstej klasy.

– A tak, prawda – starszy pan pokiwał głową. – Miałem tyle samo, gdy zaczęła się wojna. Ale odnoszę wrażenie, że byłem od ciebie jednak poważniejszy.

Maciek cichutko jęknął. Domyślał się, że teraz zacznie się gadka o tym, jaka lekkomyślna i bezduszna jest współczesna młodzież, jak to ma wszystkiego pod dostatkiem, ale niczego nie potrafi uszanować. Ku jego zdziwieniu dziadek nie zaatakował jednak smrodkiem dydaktycznym.

– Wiesz, to wspaniałe, że nie musicie być tacy jak my. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

– Serio? – zdziwił się chłopiec.

– Oczywiście. Jesteście przecież dziećmi, więc nie powinniście zachowywać się jak dorośli. To cudowne, że żyjemy w czasach, gdy nie ma takiej potrzeby. Jeśli chcesz, to opowiem ci pewną historię...

W bydlęcym wagonie panował nieprawdopodobny ścisk. Ludzie tłoczyli się jeden obok drugiego, poupychani jak śledzie w beczce. Nie można było wygodnie usiąść, a o leżeniu nie było mowy. Światło wpadało do ciemnego wnętrza przez dwa okratowane okienka umieszczone pod sufitem. Te same otwory pełniły jednocześnie funkcję wywietrzników, ale mimo to w środku panował zaduch i smród niemytych ciał.

Była jeszcze dziura w podłodze, dzięki której pasażerowie mogli załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, ale żeby się do niej dopchać, trzeba było najpierw stratować kilkunastu bliźnich.

Było zimno. Bardzo zimno. Od wielu dni panowały czterdziestostopniowe mrozy. W rogu wagonu stał co prawda żeliwny piecyk, ale opału wciąż brakowało. Już po kilku dniach podróży „pasażerowie” porabiali na szczapy drewniane prycze. Otdąd byli zdani

na łaskę swoich strażników, którzy podczas postojów wrzucali do środka trochę brzoźowych polan.

Pociąg mknął przed siebie, a trzynastoletni Antoni Krasnowski starał się spać, żeby nie myśleć o zimnie i głodzie, który kąsał jego żołądek jak wściekły pies.

– Antoś... Zjedz kromkę chleba... – mama podsunęła mu czerstwą pajdę wyjętą z zawiniątka, resztkę zapasów, które przed dwoma tygodniami zabrali z ich domu w Trembowli.

Pokręcił głową.

– To dla Anielki, ja nie jestem głodny. Słowo honoru. Zresztą już południe, zaraz będą fasować zupę, to sobie podjem jak król!

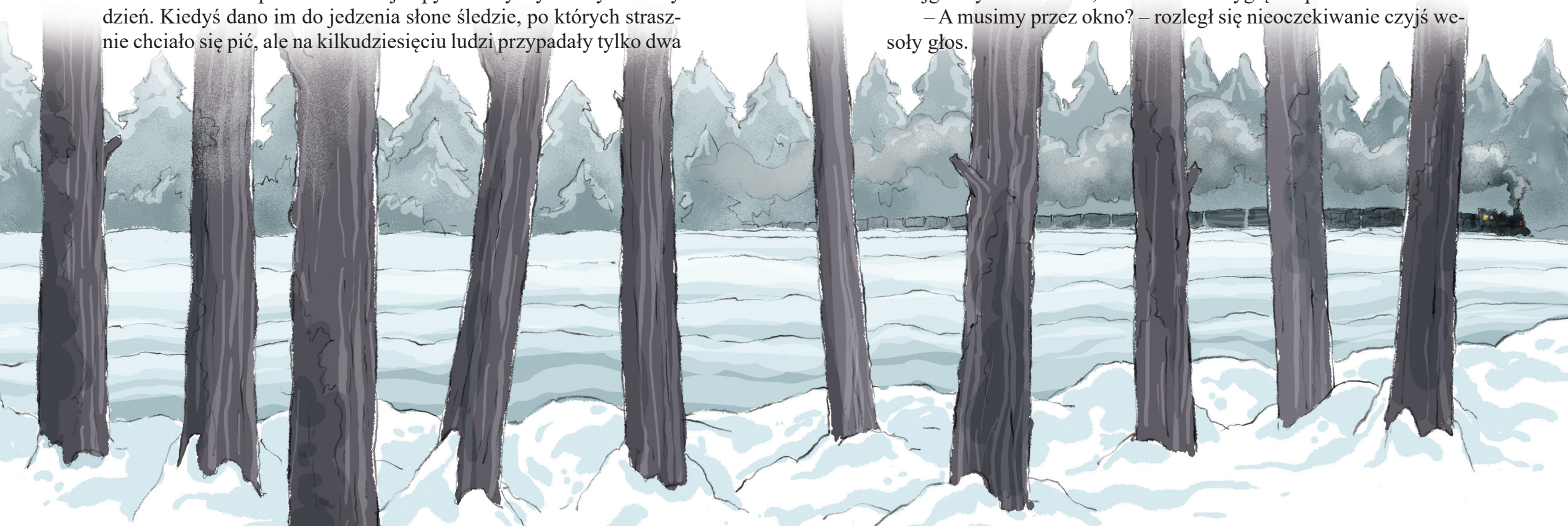
Podczas rzadkich postojów drzwi wagonu otwierały się, czerwonoarmiści wrzucali do środka opał, a potem wydawali posiłek. Odrobina chleba i pół litra cienkiej zupy musiały wystarczyć na cały dzień. Kiedyś dano im do jedzenia słone śledzie, po których strasznie chciało się pić, ale na kilkudziesięciu ludzi przypadły tylko dwa

wiadra wody, więc przeżywali straszne katusze pragnienia. Antek garściami wygarnął wówczas śnieg z dachu, który dał do picia siostrzyczce. Miał przy tym duszę na ramieniu, bo wyglądanie przez okno było surowo zabronione, za to można było oberwać kulkę. Nie chodziło mu o siebie, myślał o tym, co stanie się z mamą i siostrą, gdy jego zabraknie.

Zacisnął zęby i bezsilnie spojrzął na coraz słabszą Anielkę. Bał się, że nadejdzie chwila, gdy zbudzi się ze snu, a ona... Czasem, gdy Rosjanie otwierali drzwi, okazywało się, że ktoś w międzyczasie umarł. Najczęściej byli to starcy albo małe dzieci. Żołnierze zakrywali wówczas ciało workiem i wynosili na nasyp kolejowy, a pociąg znowu ruszał przed siebie. Na wschód.

– Ciekawe, gdzie jesteśmy... – powiedział, żeby nie myśleć o najgorszym. – Szkoda, że nie wolno wyglądać przez okno.

– A musimy przez okno? – rozległ się nieoczekiwanie czyjś wesoły głos.



Pod przeciwległą ścianą na obdrapanej walizce siedział szczupły dryblas, na oko ze trzy lata starszy od niego. Antek obserwował go od jakiegoś czasu. Podobało mu się, że nieznajomy nie tracił humoru, bez przerwy zabawiał towarzyszy podróży dowcipami, którymi sypał jak z rękawa. Któregoś dnia, gdy Anielka wyjątkowo żałośnie płakała, wyjął z kieszeni pluszowego misia i dał dziewczynce. Odtąd zasypiała przytulona do zabawki.

– Kolega pozwoli, że się przedstawię – zagaił nieznajomy. – Jestem Szymon Kon z miasta Łodzi.

– Daleko cię wojna rzuciła – zauważył Antek.

– Wojna albo raczej Niemcy zagnali mnie do Lwowa, a tam już „zaopiekowali” się mną nasi „przyjaciele” Sowietów, i oto jadę w nieznaną. To co, sprawdzamy, jak wygląda krajobraz na zewnątrz?

– W jaki sposób?

– A taki – w dłoni Kona błysnął sprężynowy nóż. – Zrobimy szparę między deskami. Nie musi być duża, byle zerknąć.

Wybrali miejsce w narożniku wagonu jak najdalej od oczu strażników i zaczęli pracę. Po kilkunastu minutach szparka była gotowa.

– No i co? Gadaj, co widzisz? – pytał gorączkowo Szymon.

– Las... – odpowiedział Antek. – Las i śnieg, las i śnieg...

Przez dłuższy czas szli w milczeniu. Choć dzień był ciepły, Maciek poczuł na skórze nieprzyjemny dreszcz.

– Dlaczego nie wzięliście więcej jedzenia? – spytał wreszcie.

– Nie było czasu – odparł dziadek. – Enkawudziści przyszli do naszego domu o piątej nad ranem, dali nam piętnaście minut na spa-

kowanie całego dobytku. Mama chwyciła to, co było pod ręką: trochę ciepłych ubrań, bochenek chleba, paczkę sucharów, mleko dla Anielki... Jeszcze nie wiedzieliśmy, co się stanie, choć odkąd do Trembowli wkroczyła Armia Czerwona, spodziewaliśmy się najgorszego.

– A ja myślałem, że to byli nasi przyjaciele... – mruknął Maciek. – Widziałem przecież tyle filmów o tym, jak wspólnie laliśmy Niemców. *Cztery pancerni i pies, Stawka większa niż życie*... Razem wygraliśmy wojnę!

Dziadek uśmiechnął się z goryczą.

– Hitler zaatakował Polskę pierwszego września, a Stalin odczekał niecałe trzy tygodnie i siedemnastego września zrobił to samo. To był prawdziwy cios w plecy! Nie uczyli was o tym w szkole?

– Nie – przyznał chłopiec. – Ale powiedz, dlaczego kazali wam opuścić dom? I gdzie w tym czasie był twój tata?

– To się nazywało deportacja – wyjaśnił dziadek. – I nie wywieźli wszystkich Polaków, przede wszystkim tych, których uważali za niebezpiecznych: policjantów, leśników, kolejarzy, nauczycieli, urzędników państwowych i ich rodziny. Mój tata był oficerem wojska polskiego, więc ja, Anielka i nasza mama zostaliśmy uznani za element wywrotowy, zagrażający władzy radzieckiej. Ojciec nie wrócił do domu z wojny, dopiero wiele lat później dowiedziałem się, że został zamordowany przez Rosjan w Katyniu...

Znowu zapadła cisza.

– Dokąd was wieźli? – spytał w końcu Maciek.

– Tak daleko, jak się da, byle dalej od rodzinnych stron – odparł dziadek.

Wiosna wdarła się do tajgi jak huragan. Jeszcze w kwietniu panowała zima, aż tu nagle zrobiło się ciepło, lód na rzece zaczął pękać z hukiem, a wszędobylskie strumienie wezbrały od roztopionego śniegu.

Podczas pracy przy wyrębie lasu Antek i Szymon nie mogli nacieszyć się tą nagłą odmianą pogody. Robota była ciężka, ale przynajmniej na świeżym powietrzu, z dala od przeludnionych i zapluskwionych baraków. Gdyby nie dokuczliwe komary i meszki można by ją nawet polubić.

Już od roku mieszkali na dalekiej Syberii w specposiołku, czyli osadzie zbudowanej dla zesłańców w samym środku puszczy. Pierwsze miesiące po przybyciu były najgorsze. Ludzie padali jak muchy z głodu, zimna i wyczerpania półtoramiesięczną podróżą w bydłych wagonach. Ci, którzy przeżyli, nauczyli się żyć w surowych warunkach i walczyć każdego dnia o przetrwanie.

Harówka w lesie była koniecznością, bo kto nie pracował, dostawał o połowę mniejszą rację żywnościową, dwieście zamiast czterystu gramów chleba dziennie. Pierwszego dnia po przyjeździe zebrano ich na placu apelowym, a komendant obozu lejtnant Władimir Zubow wykrzyczał im w twarz zasadę: „*Kto nie robotajet, tot nie kuszajet!*”.

Więc deportowani Polacy pracowali. Po pas w śniegu, zziębnięci i przemoczeni, czasem po czternaście godzin na dobę. Anielka wciąż chorowała, całymi dniami leżała w gorączce na zbutwiałym sienniku, przytulając do siebie pluszowego misia. Mama nie mogła się nią opiekować, bo kobiety tyrały na równi z mężczyznami, star-

cami i podrostkami. Antek był pewien, że mała nie przeżyje pierwszej zimy... ale stało się inaczej.

– Teraz będzie już dobrze – mówił uszczęśliwiony do przyjaciela. – Wiosenne słońce ją uzdrowi! Muszę tylko zastawić w tajdze sidła na zajączka, żeby wreszcie zjadła coś pożywnego. A już niedługo przyjdzie lato, nabieramy jagód i grzybów, wreszcie będzie jedzenia w bród...

Szymon, który nigdy nie tracił dobrego humoru, poklepał go krzepiąco po wystających łopatkach.

– Oj, spaszysz się na tych jagódkach! Będziesz ważył ze czterdzieści kilo! Ale masz rację, że będzie dobrze. Pomyśl tylko, co by było, gdyby wysłali nas do jakiejś kopalni. Tam byśmy się wykończyli w trymiga!

– Nie gadać, pracować! – warknął przechodzący obok nich nadzorca.

Antkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wiedział, że matka i siostra liczą na niego. Bez słowa chwycił za siekierę i zaczął rąbać pień gigantycznej sosny.

Rosjanin oddalił się, a Szymon powiedział cicho:

– Wiesz, czasem myślę o ucieczce. Gdyby udało nam się dostać do Chin...

– Daj spokój z tymi mrzonkami – odparł szorstko Antek. – To tysiąc kilometrów stąd. Zresztą nie uszedłbyś nawet dziesięciu, Rosjanie płacą Tunguzom kawą i herbatą za przyniesienie głowy zbiega z łagru. Ciebie ich myśliwi też by wytropili. Zresztą, ja nie ruszę się stąd bez matki i siostry, a one nie mają sił na taką wyprawę.

– Co to za różnica, gdzie umrzesz? – odparł filozoficznie Szymon.

Antek
Szymon - Antek
30 VII 1940

– Jak nie będzie innego wyjścia, to uciekniemy – szepnął chłopiec. – A na razie cieszymy się wiosną.

Zmiana w ich położeniu przyszła latem. Pod koniec czerwca Niemcy napadły na Rosję, a ich pancerne hufce parły niepowstrzymywane na Moskwę. Jakoś tak na początku sierpnia w osadzie gruchnęła wieść o amnestii, której Polakom udzielił Stalin. Odtąd nie byli już zbrodniarzami, mogli udać się, gdzie tylko zechcą... Przynajmniej teoretycznie.

– A to ci łaskawca z tego wujaszka Józefa! – śmiał się Szymon. – Wywiózł mnie pięć tysięcy kilometrów od domu, a teraz mówi, że mogę wracać! Ja nie taki głupi, dobrze wiem, dlaczego uciekałem przed Niemcami!

– Podobno Sowietci uwolnili generała Andersa z więzienia na Łubiance, żeby zorganizował polską armię... – szepnął Antek. – Może moglibyśmy się zaciągnąć?

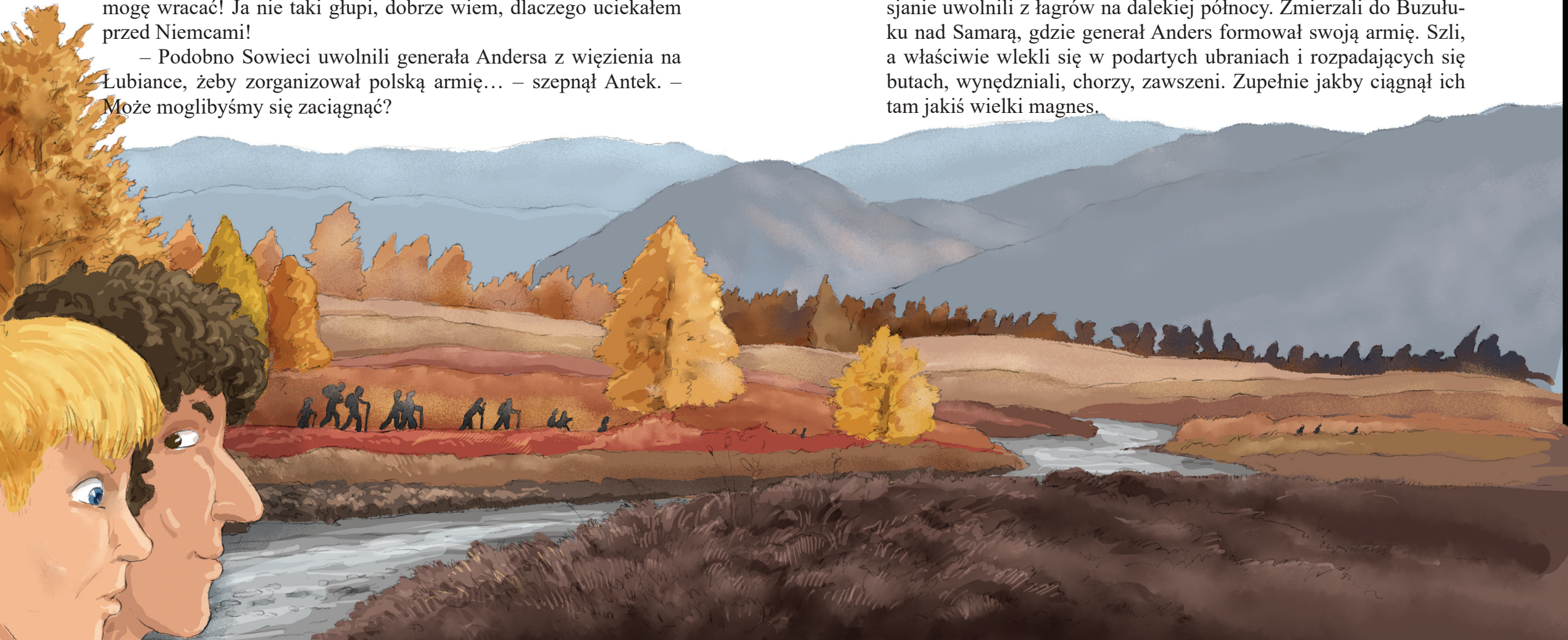
– Ja na pewno – odparł Szymon. – Ale ty masz dopiero czternaście lat. Ciebie nie wezmą.

Antkowi zrobiło się przykro.

Szymon zauważył to, objął go i mruknął:

– Nie pękaj, mały, razem pójdziemy do polskiego wojska i nakopimy Hitlerowi do tyłka. Obiecuję ci!

Lato minęło jak mgnienie oka i zamieniło się w kolorową jesień. Nie było dnia, żeby przez osadę nad leniwie płynącą Angarą nie przechodziła grupka polskich jeńców wojennych, których Rosjanie uwolnili z łagrów na dalekiej północy. Zmierzali do Buzułuku nad Samarą, gdzie generał Anders formował swoją armię. Szli, a właściwie wlekli się w podartych ubraniach i rozpadających się butach, wynędzniali, chorzy, zawszeni. Zupełnie jakby ciągnął ich tam jakiś wielki magnes.



– A my? Kiedy wyruszamy? – pytał każdego dnia zniecierpliwiony Szymon.

– Już niedługo, Anielka ma coraz więcej sił – odpowiadał Antek. Jego przyjaciel wzruszał ramionami.

– Żebyśmy tylko zdążyli. Wujaszek Stalin gotów się rozmyślić, a poza tym idzie zima.

Zima nadeszła prędzej, niż się spodziewali. Pod koniec września temperatura nagle spadła poniżej zera i sypnął pierwszy śnieg. Wychodząc do pracy w lesie, trzeba było wzuć ciepłe walonki, a na ręce zakładać rękawice.

Anielka była już całkiem zdrowa, gdy wydarzyło się nieszczęście. Mama Antka szła do pracy w lesie z grupą kobiet, poślizgnęła się i wpadła do jeziora, którego powierzchnię pokrywał cieniutki lód. Natychmiast wyciągnięto ją z zimnej wody, ale rozchorowała się i dostała zapalenia płuc.

Do prymitywnego lazaretu, w którym leżała, mającąc w gorączce, przyszedł komendant Zubow, pokiwał głową, a potem wziął Antka na stronę.

– Twoja matka już długo nie pociągnie... – mruknął. – W przyszłym miesiącu wyślę cię i siostrę do domu dziecka w Irkucku.

– Ale my chcemy iść do polskiej armii! – zawołał chłopiec.

Enkawudzista zmierzył go nieprzychylnym wzrokiem.

– Nie pyskuj, bo dostaniesz w gębę! – syknął. – Wam, Polakom, wydaje się, że możecie robić, co chcecie, ale tu jest Związek Radziecki. Tutaj trzeba słuchać władzy! Zrozumiano?

– Tak jest! – zapewnił go Antek.